

Kronika tygodniowa.

I już się zdawało, że przecież przepowiednia o upałach kanikularnych, jest już bliską spełnienia, choć z Niemiec sygnalizowano stale opady śnieżne, a korespondenci niektórych pism, pomyliwszy się w docznie, zapewniali, że w okresie spływania lodów podbiegunowych na Atlantyk przy stałym utrzymywaniu się u nas wiatrów wschodnich o poprawie mowy być nie może. Gdzie Rzym, gdzie Krym i co mogą mieć wspólnego prześladowane krakowskiego dziennikarza wiatry wschodnie z Atlantykiem, leżącym od nas jak prawdopodobnie każdemu wiadomo, najzupełniej na zachód.

W duszy naszej nadzieja kanikularnych upałów zrodziła się na podstawie zupełnie innej notatki dziennikarskiej, z której dowiedzieliśmy się, że robotnicy, zajęci we Francji przy robieniu drutów kolczastych, natrafili w okolicy Amiens na węża przeszło dwumetrowej długości, z którym stoczyli zaciętą walkę i ostatecznie zdołali go ubezwładnić. Nie jest to wprawdzie wąż morski, pojawiający się zwykle w okresie ciągu kanikularnych kaczek dziennikarskich, prawdopodobnie jednak jakaś jego odmiana, nie tak jednak żarłoczna, jak ów zeszłoroczny potwór z Afryki południowej, zjadający, wedle opinii specjalnego korespondenta ludzi, cielęta, psy, krowy i inne żyjące stworzenia. Jak nas wówczas zapewniano, czemu oczywiście wierzyliśmy, obciążył on swe sumienie i żołądek pożarciem czworga ludzi i stu cieląt, nie licząc drobniejszego inwentarza. Proponowana wówczas międzynarodowa wyprawa, mająca na celu jego uśmiercenie, nie wyruszyła z Krakowa jedynie z powodu braku odpowiednich kredytów, bo ochotników do niej zgłosiło się bardzo wielu.

Choć doniesienia dziennikarskie wyrażały przypuszczenie, że wąż z pod Amiens jest prawdopodobnie dezterem z jakiej menażeryi, nie brakło takich, a do nich należał i kronikarz, którzy byli zdania, że to przecież wąż morski, gdyż za tem przemawia okres, w którym się pojawił.

Przypomniało nam to, że i Kraków miał przed laty sensację, gdy panu Anczycowi udało się upolować w okolicy Mogiły całkiem autentycznego krokodyla, który przed swą tragiczną śmiercią był całkiem żywy, wylegiwał się na ławicy piaskowej na Wiśle i ani myślał o powrocie pod dach rodzinny, t. j. do menażeryi na Powiślu, skąd urządził drapaka. W owym czasie krokodyl taki stał się sensacją dnia w Krakowie, wszyscy tylko o nim mówili, a złośliwi utrzymywali, że to ręka ówczesnego prezydium Magistratu, które w ten sposób chciało odwrócić w inną stronę uwagę ogółu, zaniepokojonego popełnioną równocześnie większą defraudacją w kasie miejskiej. Jeśli tak było w samej rzeczy, plan się udał, przestano bowiem mówić o Kłosowskim, a zajęto się krokodylem.

Czy wąż z Amiens stoi też w związku z jaką defraudacją lub podobnym obywatelskim czynem, oczywiście nie w Krakowie, bo oddalenie zbyt wielkie, tego powiedzieć nie możemy, jeśli to nie był jednak zwiastun takiego nieszczęścia, to w każdym razie musiał być wąż morski, zapowiedź kanikuły, oczywiście niezbyt wielkiej, skoro od głowy do ogona mierzył tylko dwa metry, a również tyle i w odwrotnym kierunku.

Tydzień po Medardzie był przeważnie pogodny, co dość chłodny, mieliśmy coś ze dwa razy deszcz, uproszony przez zarząd miasta, aby spłukał ulice bez narażania na uszczerbek zapasów wodociągowych, w tym czasie okazujących skłonność do suchot. Tereny Śmierdzącej, Cholerzyna, Budzyna i t. d., skąd czerpiemy tak zwaną bielańską wilgoć, w porze letniej, gdy stan wody na Wiśle jest niski, dostarczają stosunkowo nie wiele płynu, którym Krakowianie płukają nie tyle gardła, ile wszelakiego rodzaju naczynie, o ile nie mieszkają bliżej nieba, t. j. w dzielnicach wyżej położonej i na wyższym piętrze, dokąd woda lubi bardzo często nie dochodzić, ale nowy podatek wodociągowy trzeba będzie mimo to płacić, bo, dokąd nie dojdzie woda magistracka, tam dotrze egzekutor miejski z biletem upominającym.

Ponieważ kwestya gaszenia pragnienia jest pierwszorzędnej wagi, zwracając na nią uwagę i czynniki miarodajne, o czym mieliśmy się sposobność przekonać nie tylko u nas, ale i w Ameryce. My od mieszkańców Stanów Zjednoczonych byliśmy o tyle szczęśliwsi, że ustawa prohibicyjna obowiązuje u nas tylko w niedziele i święta i to, o ile kto ma ochotę się do niej stosować, gdy natomiast za Oceanem suche dni trwają rok cały, a odnośne paragrafy są tam nadzwyczaj ściśle przestrzegane i już półprocentowy napój wyskokowy uważany jest za truciznę i jako taki zakazany, co jednak nie przeszkadza, że i obywatele Stanów Zjednoczonych upijają się, wprawdzie nie tak często i gruntownie, jak mieszkańcy Zjednoczonej Polski, w każdym razie jednak najzupełniej *lege artis*.

Równocześnie jednak tak u nas, jak i w Ameryce połączono się, może troszkę za późno, że strzelono baka i ustawy prohibicyjne, jako nie prowadzące do celu, znieść lub przynajmniej zmodyfikować należy. W Stanach Zjednoczonych z podobnym projektem występują z okazji zbliżających się wyborów prezydenta, u nas ma wejść również na porządek dzienny obrad sejmowych nowela do dawnej ustawy, podwyższająca procentową zawartość napojów wyskokowych i ograniczająca do minimum czas zakazu ich sprzedaży, bardzo rozumnie naznaczony na taką porę dnia świątecznego, kiedy zwykle nikt już nie pije, a ten, kto przebrał miarkę, urządził właśnie poobiednią drzemkę, aby nabrał sił i ochoty do wieczornego występu. W naszym sejmie zwłaszcza jego członkowie rodzaju żeńskiego propagowali zasadę trzeźwości, w odpowiedzi rodzaj męski ma zamiar wzstąpić z projektem ustawy zabraniającej w Polsce używania perfum, pudrów, wszelkiego rodzaju kosmetyków, bez których współczesna kobieta obejść się nie może, oraz przeprowadzić rekwizycję całego zapasu gumy, znajdującego się w prywatnym posiadaniu, na cele wojskowe. Miało to być odplaceniem się pięknem za nadobne, niewiasty podobno przeraziły się i okazały pewną ustępliwość na punkcie ustaw antialkoholowych.

Odkąd będziemy mogli świętować swobodnie przy kieliszku i kuflu, tego jeszcze nie wiemy, gubernator stanu nowojorskiego zawiadomił rząd waszyngtoński, że już z dniem 1. czerwca b. r. policja przestaje w jego okręgu prześladować spragnionych, a w ślad za nim idą i inne stany, mając najzupełniejszą rację, bo to przecież nieludzka rzecz kazać komuś złapać wodę, w której jak stwierdzono, żyją miliony bakterii chorobotwórczych, a do tego pochodzi ona z tak sympatycznie i obiecująco nazywających się okolic, jak Śmierdząca lub Cholerzyn. Ale to już robota krakowskich demokratów, którzy za żadną cenę nie chcieli pozwolić, aby miasto nasze miało się zaopatrywać we wodę w Regulicach, jak tego pragnął profesor Domański. Stoczono wówczas zaciętą walkę, z której zwycięsko wyszli demokraci, Śmierdząca i Cholerzyn, a przeciętny Krakowianin, o ile był wyznawcą innych zasad politycznych, od picia wody tak zwanej bielańskiej stale się wstrzymywał, utrzymując zupełnie słusznie, że mu ona nie może wyjść na zdrowie.

Taki biedak musiał zatem gasić w inny sposób pragnienie, gdy mu studnie w mieście zasypały, a w położeniu bez wyjścia znalazł się w samodzielnej i Zjednoczonej Polsce, która pozbawiła go w niedziele i święta możliwości zwilżenia sobie gardła. Czas najwyższy, że o zarządzeniu złemu nareszcie pomyślano, a nowy rząd prawicowo-piastowski za przeprowadzenie tak humanitarnych poprawek zyska sobie ogólną wdzięczność spragnionych i utrwali na długi czas swą egzystencję.

Jednak znowu sęk, a w tym sęku dziura i to daleko większa, niż krater Wezuwiusza! Wszystko się tak składa, że nastanie czas, iż wolno będzie pić, kiedy kogo będzie trapić pragnienie i na co będzie miał ochotę, ale nie będzie gdzie, gdyż większości naszych szynkarzów grozi zamknięcie i to nie na podstawie ustawy, przeprowadzającej redukcję ich liczby, lecz ze względu na wysoką opłatę, jaką każdy szynkarz musi złożyć, aby otrzymać upoważnienie na sprzedaż „pocieszczyelki utrapionych“. Opowiadał nam pewien właściciel tak zwanego drugorzędowego wyszynku, iż na niego wypada opłata w kwocie ośmiu milionów marek, wobec czego zdecydowany jest zwinąć sprzedaż trunków, a ograniczyć się jedynie na handlu korzennym.

Z jednej strony nie dziwimy się mu wcale, bo to dla przeciętnego śmiertelnika połączone jest z pewną trudnością, z drugiej jednak nie wątpimy, że on sam i jego przedsiębiorstwo nie poniesie z tego powodu żadnej szkody, gdyż owe miliony rozłoży się na konsumentów, a przy odpowiednio sprytniej kalkulacji, w czym są mistrzami nasi kupcy, owe ośm milionów zamienią się bardzo łatwo na szesnaście a nawet i więcej, z czego ośm zabierze kasa rządowa, reszta zaś pozostanie w kieszeni właściciela na otarcie łez iż go rząd tak strasznie wyzyskuje.

Przy tej sposobności należałoby zwrócić uwagę naszych organów bezpieczeństwa na okoliczność, iż prześladowanie pijaków jest czynem wysoce nielojalnym, szkodzącym aż nazbyt widocznie interesom finansowym naszego państwa, czerpiącego lwią część swych dochodów z opłat i podatków, stojących w związku z trunkowością. Doprowadzeni do ostateczności, mogą się biedacy zżobyć na czyn heroiczny i ogłosić ogólne bezrobocie, czyli „suche dni“, a jak wtedy będzie wyglądać budżet państwowy i nasza nieszczęśliwa marka polska, którą dławi wszystko, nie tylko dolar, ale nawet i złoty polski.

Powiedział pewien wielki filozof, że wszystko na świecie musi mieć swój koniec, z wyjątkiem oczywiście koła, nie mającego, jak wiadomo, ani początku, ani końca, skończą się zatem kiedyś i nasze kłopoty prohibicyjne i to może nawet bardzo rychło, gdyż nowela do ustawy nie znajdzie z pewnością wielu przeciwników, czy jednak i kiedy możemy się spodziewać końca naszej mizeryi finansowej, to pytanie, odbierające sen, a nie znajdujące nigdzie pocieszającej odpowiedzi. Trudy pana Grabskiego ratowania budżetu państwowego złotymi polskimi jakoś się nie udają, czytamy wprawdzie w urzędowych komunikatach, że bony złote zyskują coraz więcej zwolenników, ale codzienne życie uczy, że marka leci coraz bardziej na łeb, a ogół liczy dotąd na marki, a nie na złote polskie, które tańczą także tak, jak im spekulanci giełdowi zagrają. Miał się podobno złoty polski przyczynić do ustalenia wartości marki, ale jakoś przychodzi mu to z trudnością, skoro sam zmienia swą wartość co dziesięć dni: dwa tygodnie temu wstecz obliczano go na ośm tysięcy marek, a obecnie przekroczył już dwanaście, rozszerzył zatem swą objętość zgodnie z zasadami fizyki, która uczy, że w miarę ciepła pęcznieją wszystkie ciała. Wedle zapowiedzi Ministerstwa skarbu miał się złoty polski równać wartością frankowi szwajcarskiemu, powoli jednak zbliża się do dolara, a kto wie, czy nie osiągnie z czasem i wysokości funta szterlingów. W stosunku do niego chudnie coraz bardziej marka, a przeciętny śmiertelnik pobierający miesięczne gaży milion marek (niższe dostępne są jedynie umysłowo pracującym!), ma satysfakcję, że swój zarobek miesięczny może przynieść do domu co pierwszego we worku, rozliczając wydatki na chleb, mleko, czasem nawet i mięso, bawi się w astronomię, gdyż operuje dawniej tylko jemu dostępnymi cyframi, w rezultacie dochodzi zaś do przekonania, że przy najdalej idącej oszczędnościach już w drugiej połowie miesiąca kieszeń pana domu świeci zupełną pustką. Konjunktury tak się układają, że o poprawie stosunków ani myśleć nie można, mimo że obecnie w Europie co drugi obywatel to milioner, a co dziesiąty miliarder, gdy natomiast z Ameryki nadchodzi smutne wieści, iż tam milionerów coraz mniej.

Natomiast Ameryka ma podobno obecnie tropikalne upały, być może te same, które były przeznaczone pierwotnie dla Europy, ale jakimś dziwnym sposobem dostały się za Ocean. Przemysłni Amerykanie, umiejący wszystko odpowiednio spieniężyć, zaopatrzają nas niezawodnie w najkrótszym już czasie w skondensowane ciepłe powietrze, które nawet przy niskim stanie naszej marki wypadnie nam taniej, niż węgiel górnośląski, lub choćby z Zagłębia krakowskiego, dostępny obecnie jedynie dla multimiliarderów i stwierdzający, że Maurycy Jokaj miał zupełną rację, nazywając węgle „czarnymi dyamentami“.

